BIBLJOTECZKA·WYCHOWAWCZA
„DZIECKA·I·MATKI"

IZA·MOSZCZEŃSKA

SAMODZIELNOŚĆ I·ODPOWIEDZIALNOŚĆ DZIECKA

TOW·WYDAWNICZE·„BLUSZCZ"
WARSZAWA

Bibljoteka Wychowawcza Dziecka i Matki

wydawana przez
Tow. Wydawn. „BLUSZCZ"
Warszawa, Pl. Zamkowy 9.

obejmuje następujące działy:

Wychowanie fizyczne, higjena i profilaktyka, wychowanie umysłowe, wychowanie moralne, wychowanie obywatelskie, wychowanie estetyczne, wychowanie praktyczne, beletrystyka dydaktyczna.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

z. 1) Marja Benisławska
„Z mojej praktyki wychowawczej".

„ 2) Prof. Dr. Stefan Szuman
„Rozwój rysunku u dziecka i jego kształcenie".

„ 3) N. Szretterowa
„Gra ruchowa jako środek wychowawczy.

„ 4) Zofja Jętkiewiczowa
„O wpływie rodziców na przyrodzone wartości dzieci".

„ 5) Marja Czeska-Mączyńska
Pamiętnik młodej mat

„ 6) Ala Maryńska
„W przedszkolu".

„ 7) Ryta Gnus
„Radość śpiewu".

„ 8) Iza Moszczeńska
„Samodzielność i odpowiedzialność dziecka".

„ 9) Alessandrina Rawizza
„Moi złodziejaszkowie".

Cena każdej z powyższych książek wynosi 1 zł. 50 gr., z przes. 1 zł. 80 gr.

Należność z zamówieniem przesyłać do Tow. Wyd. „BLUSZCZ" — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. 13.555.

BIBLJOTECZKA WYCHOWAWCZA
„DZIECKA I MATKI“

IZA MOSZCZEŃSKA

SAMODZIELNOŚĆ I ODPOWIEDZIALNOŚĆ DZIECKA

CENA
1 00/ZŁ
ZNIŻONA

TOW. WYDAWNICZE „BLUSZCZ“
WARSZAWA — PLAC ZAMKOWY 9.

Druk Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ", Warszawa, Rymarska 8.

W S T Ę P.

ZNACZENIE WYCHOWANIA DOMOWEGO.

Pragnęłabym, aby rodzice, a w szczególności matki — jak najgłębiej przejęły się przekonaniem, że niezależnie od tego, co się obecnie bardzo często głosi publicznie, w istocie nie szkoła, lecz one same wychowują dzieci i za wynik tego wychowania odpowiedzialność ponoszą.

Tego nie zmieni wcale okoliczność, że szkoła obecnie dąży do wszechstronnego ogarnięcia dzieci swym wpływem, pokierowania nietylko ich nauką, lecz zabawą. W każdym razie jej działalność, choćby najważniejszą i najbardziej dodatnią, rodzice winni oceniać tylko jako pożądane uzupełnienie, jako pomoc w pokierowaniu rozwojem dzieci. To, co najważniejsze, od czego w pierwszym rzędzie zależy ukształtowanie charakteru przyszłego człowieka, leży zawsze w ręku rodziców, a żadne ich zaniedbanie powetowane nie będzie przez nikogo. Wynika to przedewszystkiem stąd, że szkoła nie otrzymuje zupełnie surowego materjału, bo pierw-

sze lata życia już zaszczepiają w duszy dziecka szereg skłonności, uzdolnień i nawyknień, z któremi dalsze wychowanie liczyć się musi jako z dźwignią, lub hamulcem. Często to, co się zbyt powierzchownym obserwatorom wydaje „wrodzoną naturą" dziecka, jest nabytkiem tego pierwszego okresu dzieciństwa, który upływa w domowem ognisku, gdy tylko najbliżsi znają dziecko i niem kierować mogą.

Drugą i najważniejszą przyczyną przewagi wpływu wychowawczego rodziców jest ciągłość tego wpływu. Życie szkolne jest jakoby tylko jednym rozdziałem w księdze życia dziecięcego i to rozdziałem pozbawionym ścisłego związku z resztą. Obejmuje tylko pewne dnie i godziny w pewnym szeregu lat. Rekreacje, święta, wakacje, tworzą w nim przerwy, które dziecko znowu w otoczeniu domowem spędza. Co więcej, środowisko szkolne w tymże czasie zmienią się niejednokrotnie. W miejsce jednych nauczycieli przychodzą inni w miarę przechodzenia z klasy do klasy; koledzy i koleżanki również nie są zawsze ci sami.

Wszystko, co szkoła dla wychowańców swych czyni, ma na celu zawsze całe zbiorowisko dzieci.

To, co dane dziecko ze szkoły wyniesie (w dobrem czy złem znaczeniu), zależy przedewszystkiem od tego, z czem do szkoły przyjdzie, w jakim kierunku zmierza jego zaciekawienie i zainteresowanie, jego sympatja i wrażliwość, od tego wreszcie, czy biernie poddaje się wszystkim zewnętrznym wpływom, czy też zdolne jest samo-

dzielnie wybierać, czynnie reagować i na swój sposób oddziaływać na otoczenie. W szkole dziecko jest cząstką wielkiej całości; w domu jest sobą, jednostką osobną, której wszystkie właściwości mają sposobność się zamanifestować w ścisłym związku jedne z drugiemi. Wychowawcy w szkole wiedzą, jakiem jest dane dziecko, czem się różni od innych i w czem się zmieniło, lub zmienia. Tylko dom może stwierdzić, dlaczego stało się takiem, a nie innem, czem wytłumaczyć zmiany, jakie się w niem dokonywują. Tylko matka może znać dokładnie kolejne fazy jego rozwoju i okoliczności, w jakich wyrastało, śledzić je w chwilach wypoczynku i zmęczenia, zdrowia i choroby. Nietylko — ona to wszystko wie i pamięta, ale w każdem przeżyciu dziecka uczestniczy i interwenjuje, nawiązując to, co dziś robi lub mówi, do tego, co wczoraj, przed rokiem, lub pięciu laty mówiła i robiła. Ona jest dla niego księgą wspomnień, wciąż odświeżanych.

Opieka rodzicielska przeprowadza dziecko przez wszystkie kolejne etapy okresu wychowawczego od urodzenia, aż do wyboru zawodu; ona tylko może — jeśli umie — nadać jego rozwojowi harmonijny plan i kierunek celowy.

Szkoła kształci zbiorowość, dom — indywidualność.

Charakter człowieka — to jego indywidualność. Jeśli jednostka będzie zerem, to i sto takich jednostek również będzie nicością. Stąd niezmierna waga wychowania domowego dla kształcenia narodu.

DZIECKO — PRZYSZŁY CZŁOWIEK.

Matka zawsze żywo mieć winna w pamięci, że dziecko rośnie, że jest codzień starsze i że przez te kolejne przemiany, które w niem zachodzą, zwolna, stopniowo staje się człowiekiem. Wszystkie jej dzisiejsze zabiegi wychowawcze winny przeto mieć na widoku dzień jutrzejszy, a w dalszem następstwie ową odległą przyszłość, w której już będzie człowiekiem, a ona swe zadanie skończy.

Zdawałoby się, że to prawda tak oczywista, iż jej nawet przypominać nie warto, a jednak wychowanie wogóle, a w szczególności wychowanie domowe, ciągle przeciw niej grzeszy. Składa się ono w najczęstszych wypadkach z serji doraźnych odruchów, mających na celu usuwanie nastręczających się trudności, w ten, lub ów sposób bez wyboru środków i bez przewidywania następstw. Chodzi w nich o to, by dziecko nie przeszkadzało spełnić tego, co uważamy za potrzebne i konieczne, bądź to dla jego własnego dobra, bądź dla wygody, lub korzyści otoczenia. Jeżeli

matka cel osiągnie i swoją wolę przeprowadzi, sądzi, że sprawa szczęśliwie załatwiona, nie pytając, kosztem jakich trudności jutrzejszych okupiła doraźną uległość dziecka. Nieraz przyjdzie jej z trudem i mozołem wykorzeniać z jego duszy to, co w niej zaszczepiła sama przez lekkomyślne chwytanie się sposobów najskuteczniejszych na daną chwilę, lecz w istocie będących lekarstwem szkodliwszem, niż choroba. Jeśli, naprzykład, poddaje się jej woli tylko dlatego, że zostało zastraszone, lub oszukane, to nie ma prawa skarżyć się w przyszłości, że stało się tchórzliwe, albo — co gorsze — przestało jej ufać. Sama zamknęła sobie drogę do jego duszy, t. j. do wywierania głębszego wpływu na jego życie wewnętrzne.

Nie o to chodzi w wychowaniu, by dziecko robiło to, co chcemy, lecz aby chciało tego, co robić powinno. Celem naszym nie jest wychowanie grzecznego dziecka, lecz zacnego człowieka. Wszystkie zalety, które w niem chcemy widzieć w przyszłości, winny się już w zaraniu życia rozwijać, gdyż tylko w takim razie staną się dla niego drugą naturą, zapuszczą tak głębokie korzenie, że już ich późniejsze złe wpływy nie wyrwą, a nawet nie osłabią.

Mowa tu naturalnie o głębszych cechach charakteru, a nie o tak zwanych wadach dziecięcego wieku, które w istocie nie są wadami, lecz poprostu właściwościami nieuchronnemi danego okresu życia, z których bez szczególnych zabiegów wyrasta dziecko w okresie późniejszym.

Stanowi to wielki błąd wychowania, gdy drobne usterki traktuje się na równi z istotnemi przewinieniami. W każdym wypadku należy starać się wniknąć w pobudki postępowania, odgadnąć grę instynktów, które je wywołują i odkryć te, które mogą stać się dla nas pożytecznymi sojusznikami w zwalczaniu ujemnych skłonności.

Nie bez racji powiedziano, że każda wada dziecka jest niby twarda łupina orzecha, ukrywająca jądro jakiejś cnoty. Ileż razy przekonamy się, że ta sama skłonność, która w poszczególnym wypadku popychała dziecko do złego, w innym może się stać pobudką do bardzo dobrych i pożądanych postępków, jeśli ją w odpowiednim zwrócimy kierunku. Ta sama roślina, która, rosnąc dziko, jest poprostu chwastem, wypielęgnowana przez umiejętnego ogrodnika staje się pięknym kwiatem. Starajmy się na każdym kolczastym głogu, jaki spotkamy w duszy dziecka, zaszczepić piękną różę, a błogosławić będziemy bogactwo natury, nad którą tem bardziej warto pracować, im praca jest mozolniejsza. Dzieci trudne do prowadzenia — to nieraz najbardziej obiecujące jednostki — tak samo jak najurodzajniejsza bywa ta ziemia, która najbujniej zielskiem porasta.

DOJRZAŁOŚĆ A ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Opieka, którą rodzice i wychowawcy otaczają dziatwę i młodzież, nie przyniosłaby żadnej korzyści, gdyby nie dążyła do tego, by się stać zbyteczną. Jeżeli po ukończeniu edukacji szkolnej rozdajemy młodzieży „świadectwa dojrzałości", to choć to wyrażenie niezawsze odpowiada treści, do której się odnosi, przypomina ono i stwierdza, co powinno stanowić metę krańcową w pracy wychowawczej. Zaczyna się od pielęgnowania dziecka, kończy na wypuszczeniu w świat dojrzałego człowieka. „Dojrzały" to znaczy: stojący o własnych siłach, polegający na sobie, zdolny do pełni samodzielnego życia, do kierowania samym sobą. Nie co innego mamy na myśli, gdy mówimy o szczęśliwych rodzicach, którzy dożyli tej pociechy, że dzieci wykierowali na ludzi. Ich troski, obawy, kłopoty — skończyły się; wiedzą, że dorosły syn i córka sami sobie dadzą radę, a nawet zdolni są stać się oparciem dla innych. W zasadzie każdy się na to godzi, w praktyce jednak jak-

że często słyszy się skargi rodziców, że ich dzieci idą swoją drogą, nie stosując się do wskazań i poleceń ojca i matki w postanowieniach, od których cała ich przyszłość zależy, czy to gdy chodzi o wybór zawodu, czy o wybór męża, lub żony. Nie mogą się pogodzić z myślą, że człowiek dojrzały, ponosząc sam za siebie odpowiedzialność, musi kierować się własną wolą, gdyż nie kto inny, lecz on sam wyciągnie złe, lub dobre konsekwencje swego postępowania. Jeżeli samodzielność dorosłych dzieci przejmuje nas lękiem, to dowód, że owoc naszej pracy wychowawczej jest dla nas samych wątpliwy, że nie mamy wiary w rzeczywistą dojrzałość tych, dla których tak gorączkowo dobijamy się o świadectwo dojrzałości.

Trzeba przyznać, że w bardzo wielu wypadkach ten lęk będzie uzasadniony. Mamy znacznie więcej ludzi dorosłych, niż dojrzałych. Cała bieda w tem, że ludziom dorosłym, którzy dojrzałości nie osiągnęli — żadna opieka zzewnątrz już na nic się nie przyda. Dziecko, które, wyrósłszy z niemowlęcego okresu, nie umie samo stać i chodzić, uczeń i uczennica, którzy w szkole nie umieją się sami uczyć, młodzież, która — doszedłszy do pełnoletności — nie wie, co ze sobą zrobić — to kaleki i niedołęgi, skazane na lichą wegetację i stanowiące ciężar dla drugich. W dzieciństwie i wczesnej młodości można jeszcze odpowiedniemi zabiegami tę chorobę wyleczyć, ale — im później — tem kwestja trudniejsza i mniej daje widoków wyzdrowienia. Społeczeństwo, obciążone

wielką liczbą takich jednostek bezradnych i niedołężnych, nie może szybko i pomyślnie rozwijać się i iść po drodze postępu.

Nigdzie może nie daje się tak żywo odczuwać potrzeba jednostek dzielnych, energicznych, zaradnych, polegających na sobie i dających rękojmię, że na nich polegać można, jak we współczesnej Polsce. Warunki życia wszędzie stały się po wojnie trudniejsze i bardziej skomplikowane, a równocześnie zwiększyła się liczba życiowych rozbitków, ofiar katastrof wojennych i powojennych, potrzebujących opieki i pomocy. U nas zaś przez odzyskanie wolności odsłoniło się niezmiernie szerokie pole pracy i inicjatywy twórczej, nieprzejrzany obszar zaniedbanych ugorów, nastręczających wielką obfitość i rozmaitość możliwości tym, co — zakasawszy rękawy — dzielnie i śmiało wezmą się do roboty. Nie na wydeptanych i utorowanych ścieżkach, lecz na tych „dzikich polach", czekających na pług mozołu ludzkiego i posiew myśli ludzkiej — znaleźć można drogę do osobistego powodzenia i pomyślnej przyszłości narodu. Los Polski od tego zależy, czy w narodzie znajdzie się dosyć charakterów dzielnych, ambitnych i wytrwałych, które dźwigną go na swych barkach.

Dla szczęścia kraju i dla szczęścia własnych dzieci winni rodzice konsekwentnie i wytrwale dążyć do tego, by od najwcześniejszego dzieciństwa podniecać i rozwijać te cechy, na których budowę takich charakterów oprzeć można.

ZADATKI CHARAKTERU WE WCZESNEM DZIECIŃSTWIE.

Tutaj niejedna z moich czytelniczek wyrazi wątpliwość, czy już we wczesnem dzieciństwie mogą się ujawnić cechy, o które chodzi. Dziecko jest istotą wątłą i słabą; potrzebuje na każdym kroku pomocy i opieki. Troskliwe oko musi czuwać nad każdym jego krokiem, by je uchronić od zupełnie realnych niebezpieczeństw. Czuje ono swą niemoc, garnie się pod opiekuńcze skrzydła matki i niema dla niego cięższej i bardziej rozdzierającej tragedji, jak osamotnienie i zaniedbanie. Mimo to jednak każdy nowy przyrost sił i każdy świeży postęp umysłowy budzi w niem pewne emancypacyjne zachcianki, które zazwyczaj jego dorosłe otoczenie z całą stanowczością poskramia. Skoro tylko dziecko zrozumie czynności starszych, wykonywane przy niem, lub dla niego, puszcza się na próby naśladownictwa. Chce z roli biernej przejść do roli czynnej i woła: „Ja sam! ja sam!“. W tym okrzyku wyraża się jego pęd do samodzielności, jego ambicja wyrastania z moralnych powijaków, któremi jest skrępowane. Jest to pewien

rodzaj buntu przeciw domowej władzy, a spotyka się zwykle z represjami, bądź to podyktowanemi koniecznością, bądź też sięgającemi poza nią.

Oczywiście, nie można pozwolić dziecku na samodzielną czynność, o której zgóry wiemy, że się źle skończyć musi; z drugiej strony jednak i to winniśmy pamiętać, że każdy taki zakaz z naszej strony ma sens tylko, jako odroczenie próby, którą bądź co bądź prędzej, czy później będzie musiała dokonać. Zachodzi pytanie, czy nie lepiej pozwolić na nią w chwili, gdy zagrzane ambicją dziecko samo się rwie do niej i gotowe jest do maksymalnego wysiłku uwagi i zręczności, aby z niej wyjść zwycięsko i odnieść triumf nad naszym sceptycyzmem i lękiem, czy czekać tak długo, aż trzeba ją będzie narzucić, łamiąc nawyknienia lenistwa i niedołęstwa, które przez nadmiar opieki zaszczepiliśmy mu sami. Gdy małe dziecko czułoby się bardzo zaszczycone, jeśliby mu pozwolono spełniać domowe usługi, słyszy stale od starszych: „Nie ruszaj tego, bo stłuczesz, upuścisz, rozlejesz!". „Tego nie umiesz, tamtego nie udźwigniesz" i t. p.

Wkońcu uwierzy samo, że wszystkie te czynności są nad jego siły i należy się od nich wstrzymać, by uniknąć niechybnej katastrofy. Dopiero, gdy one stracą dla niego wszelki powab, bo jego ambicje rozwinęły się już w zupełnie innym kierunku, zaczynamy je zawstydzać, że jest do niczego; żądamy, by było zręczne, usłużne, zaradne, praktyczne, t. j. domagamy się właśnie tych zalet,

którym nie pozwoliliśmy się normalnie rozwinąć.

Bywa i tak, że bądź to konieczność nieprzewidziana, bądź też namiętna chęć sprawdzenia swych sił skłoni je do podjęcia próby, której całe ryzyko staraliśmy się przedstawić w jak najgroźniejszych barwach, że dokona tego w nieobecności swej domowej opieki, w nastroju zdenerwowania, z biciem serca i drżeniem rąk. W takim razie najłatwiej o nieszczęśliwy wypadek, w którym upatrujemy uzasadnienie naszej poprzedniej ostrożności, zamiast w nim widzieć dowód, jak mylne dyktowała nam ona drogi do celu. Kiedyś przecież każde dziecko będzie musiało nauczyć się zapalić zapałkę i nie wywołać pożaru, otworzyć okno i nie wypaść przez nie, przejść przez ulicę i nie wpaść pod koła nadjeżdżającego wozu. Zamiast mówić mu wyłącznie o grożących niebezpieczeństwach, czyż nie lepiej wyjaśnić mu, jak ich uniknąć można i wpajać w nie wiarę, że przy natężeniu uwagi i wysiłku woli i ono także zdoła to uczynić równie dobrze, jak starsi.

Zapominamy zawsze, jak niesłychaną siłą w wychowaniu dziecka jest sugestja. Nie byłoby może zbyt wielkim paradoksem twierdzenie, że dzięki swej wrażliwości na sugestję dziecko z łatwością staje się takiem, za jakie je uważamy. Odwołując się do pewnych domniemanych pobudek, wzmacniamy je. Podejrzliwość nasza czyni je gorszem, zaufanie je uszlachetnia i podnosi.

Czasem dziecku udają się rzeczy napozór

bardzo trudne, tylko dzięki temu, że nie zdaje sobie sprawy, iż spełnia zadanie na swój wiek zupełnie niezwykłe. Zdarzyło się tak, że dwuletnia dziewczynka będąc sama w domu ze swą niańką, gdy ta wyszła na chwilę, na kuchenne schody dla zamienienia kilku słów z sąsiadką, zatrzasnęła za nią drzwi i znalazła się zupełnie bez opieki w mieszkaniu, do którego nikt nie mógł się dostać, bo klucze zostały wewnątrz. Na szczęście, zanim dziecko zdążyło się zorjentować w sytuacji i przejąć się lękiem dorosłego otoczenia, nadeszła doświadczona babcia i odrazu zrozumiała, że dziecko samo musi tu pomóc. Na to jednak trzeba, aby było zupełnie spokojne i dało się sobą pokierować. Przywołała je do drzwi i zaczęła z niem rozmowę przez dziurkę od klucza:

— Czy widzsz klucz od zatrzasku, który wisi na gwoździu?

— Widzę.

— Czy możesz przystawić krzesło, wejść na nie i sięgnąć do klucza?

Dziecko wykonało zlecenie.

— A teraz przysuń to samo krzesło do okna, otwórz lufcik, wyrzuć klucz na podwórze i idź zaraz do drzwi, to ci powiem resztę“.

Chodziło oczywiście o to, aby dziecko nie wychylało się przez otwarte okno; tymczasem niańka wyrzuconym kluczem otworzyła mieszkanie. Sprawa została załatwiona krótko i poprostu.

Warto obserwować, jak ostrożnem i uważnem staje się dziecko, gdy wie, że musi sobie samo

radzić w przedsięwzięciu, na którem mu bardzo zależy. Niedawno przyglądałam się, jak chłopiec w czwartym roku, przeprowadzony przez starszą siostrzyczkę na przeciwny brzeg płytkiej o kamienistem dnie rzeczki, nie chcąc czekać, aż będzie mogła go stamtąd zabrać, sam się przeprawiał z powrotem. Jakże ostrożnie stawiał każdy krok! jak przezornie próbował, czy dość płytka tam, gdzie ją musiał zanurzyć. A jak radosnym triumfem zabłysnęły jego oczęta, gdy bez niczyjej pomocy dokazał swego! Za kilka lat niewątpliwie będzie próbował wspinać się na drzewo, a choć nie ulega kwestji, że z drzewa spaść można, najlepsze widoki uniknięcia tego niebezpieczeństwa będzie miał wtedy, jeśli całą uwagę skupi na swoich ruchach, niesparaliżowanych własną, lub cudzą trwogą.

Czasem wystarczy okrzyk zalęknionej matki: „Bój się Boga! spadniesz!“ — by chłopiec spadł naprawdę. A czyż to samo nie powtarza się w stosunku do ludzi dorosłych? Wszakże podczas każdej katastrofy panika stanowi niebezpieczeństwo najgroźniejsze, a zimna krew znajduje wyjście z położenia, które wydaje się bez ratunku. Chory, który wierzy, że nic mu nie będzie, ma zawsze lepsze widoki powrotu do zdrowia, niż ten, który umysł swój zaprząta czarnemi myślami.

Nigdy nie pomijajmy sposobności, by budzić w dzieciach wiarę we własne siły, a nic tak nie podtrzymuje tej wiary, jak pomyślne próby dokonania rzeczy trudnych.

Nigdy też nie róbmy dla dziecka tego, co ono może samo zrobić, pod pozorem, że my to zrobimy lepiej. Oczywiście odrazu niczego dobrze zrobić nie można, ale nigdy niczego się nie nauczy — kto nie próbuje tego, czego nie umie.

Trudno uwierzyć, do czego doprowadzić może nadmiar troskliwej opieki nad dzieckiem. Znałam rozpieszczoną jedynaczkę, która nigdy nie podniosła się sama, jeśli jej się zdarzyło potknąć i upaść, lecz czekała, aż ktoś przybiegnie jej na pomoc. Było to jednak dziecko zdrowe i żwawe, lecz przyzwyczajone do tego, że każda jej, choćby najdrobniejsza przykrość, alarmuje całe domowe otoczenie.

STOPNIOWANIE TRUDNOŚCI.

Pamiętajmy jednak, że i tu jak w każdej innej nauce, bardzo wiele zależy od planowego, metodycznego stopniowania trudności. Dla przykładu podam szereg faktów z życia jednego dziecka.

Haneczka, mając cztery lata i dwa miesiące, była z matką na wsi i bawiła się przy niej w lesie w piasku. W pewnym momencie zapragnęła iść po jakąś zabawkę do dworu. Droga niedaleka i dobrze jej znana, prowadziła przez most koło młyna. Matka nie mogła, czy nie chciała jej towarzyszyć; dziewczynka zapewniła, że może iść sama pod warunkiem, że mamusia stanie na brzegu lasu i będzie patrzeć na nią, póki ona przez most nie przejdzie. Była to pierwsza próba samodzielnej wędrówki; dziecko czuło się pewniejsze siebie, gdy wzrok matki ją prowadził; zdrowy instynkt wskazywał jej, że w danym momencie nie groziło jej nic, prócz własnego popłochu. Przebywszy most, który zawsze na niej sprawiał pewne wrażenie, ruszyła śmiało naprzód, a wróciła jeszcze pewniejszym krokiem.

W rok później w Warszawie, odprowadzona również wzrokiem rodziców, patrzących na nią z okna parterowego mieszkania, odbyła pierwszą wyprawę na ulicę do przeciwległego sklepiku po jakiś drobny sprawunek, po dokładnem objaśnieniu, jak się ma zachować. Coraz częstsze próby doprowadziły ją do tego stopnia śmiałości i roztropności, że mając lat siedem, sama chodziła do szkółki przygotowawczej, odległej o kilka ulic. Nauczyła się tak doskonale orjentować w położeniu i kierunku drogi, że jako 12-letnia dziewczynka, znajdując się na letniem mieszkaniu w Kazimierzu nad Wisłą, zaraz pierwszego ranka zwiedziła okolicę i starszych objaśniała, dokąd jaka droga prowadzi. Tegoż lata wracając z dłuższej wspólnej przechadzki, nad wieczorem spostrzegła, że przez roztargnienie zostawiła na górze Trzech Krzyży ręcznik kąpielowy. Matka poleciła jej wrócić po zgubę i odnieść do domu, co też bez wahania uczyniła.

Wróciwszy do Warszawy, stała się przewodniczką młodszego braciszka, którego odprowadzała do szkółki freblowskiej. Los zrządził, że dzieci w dwa lata później musiały się na jakiś czas rozłączyć z matką i umieszczone zostały w internacie w Zakopanem. Rolą opiekunki przejęła się bardzo żywo kochająca siostra, a obawa o samą siebie przestała wogóle dla niej istnieć, gdy miała już o kogo się troszczyć. Po roku dzieci wracały do Warszawy, powierzone opiece nauczycielki, która jednak towarzyszyła im tylko od Kra-

kowa do Częstochowy. Wskutek niespodziewanego przyśpieszenia tej podróży na stacji nikt na nie nie czekał i Haneczka musiała sama podjąć trud i kłopot odwiezienia obojga i ich rzeczy do celu podróży. Minęło jeszcze dwa i pół roku, a wystawiona została na ciężką próbę: matka znienacka została aresztowana na mieście przez żandarmerję rosyjską, dzieci zostały same ze służącą. Trzynastoletnia dziewczynka rozwinęła wtedy niezrównaną zabiegliwość i energję. Umiała trafić do opieki więziennej i przesłać matce niezbędne rzeczy; umiała dotrzeć do władz i postarać się o widzenie z uwięzioną; zawiadomić i poruszyć wszystkich, którzy mogli pomóc i poradzić, zaopiekować się braciszkiem i domem zarządzić — a wśród tych poważnych zajęć i obowiązków nie zaniedbać i własnych lekcyj. Samodzielność, obowiązkowość, odpowiedzialność była już zdawna jej drugą naturą, to też nic dziwnego, że w niezwykłym, dramatycznym momencie życia nie straciła głowy, jak wiele starszych od niej osób.

Nigdy nie możemy zgóry przewidzieć, na jakie próby los nasze dzieci wystawi, ale to wiedzieć łatwo, że w każdem położeniu przyda im się zdolność samodzielnego radzenia sobie w trudnościach, decydowania na własną odpowiedzialność, oceniania, co jest ich powinnością i spełniania jej bez wahania.

Nie mogąc gwarantować im łatwych warunków życia, starajmy się o to, by rzeczy — trudne dla innych — dla nich łatwemi się stały.

ZABAWA DZIECKA, JAKO POLE UJAWNIENIA I ROZWOJU INDYWIDUALNOŚCI.

W każdym okresie dzieciństwa trzeba dać dziecku pole do samodzielnego spełniania pewnych czynności. W miarę rozwoju sił fizycznych i umysłowych zakres tej swobody musi się rozszerzać i obejmować coraz większą rozmaitość zajęć. Osiągamy przez to nietylko tę korzyść, że dziecko ćwiczy swoją wolę i zdolność inicjatywy, lecz, że jego wychowawcy mają sposobność istotnego wniknięcia w jego naturę, w jego indywidualne przeżycia. Póki dziecko tylko zawsze spełnia cudzą wolę, nie możemy wiedzieć, jakie ono jest naprawdę.

Z tego względu tak nieocenione znaczenie wychowawcze ma zabawa dziecka. Nie odnosi się to naturalnie do zabaw dla dzieci, urządzanych przez dorosłych i stanowiących wcielenie ich pedagogicznych pomysłów. Są to bardzo często zabawy, w których dorośli bawią się dziećmi, narzucając im bierną rolę lalek, kładąc im w usta własne słowa i poruszając je wedle zgóry ułożo-

nego scenarjusza. O ileż więcej pedagogicznej wartości mają zabawy samorzutne, w których dziecko jest twórcą własnego fikcyjnego świata, a które stanowią najwierniejsze odbicie marzeń, pragnień, ambicyj i ideałów jego budzącej się duszy. W tym urojonym świecie dziecko szuka zadośćuczynienia za wszystkie przykrości, wynikające z jego niemocy i zależności. Tam ono wszystkiem rządzi, wszystko wie i wszystko umie. Umie jako maszynista prowadzić pociąg, lub jako kapitan okrętu żeglować po morzach. Staje się kolejno żołnierzem, nauczycielem, jeźdźcem, lub myśliwym, a w każdej roli wszystko mu się udaje, wszystko idzie po jego myśli.

Stopniowo, powoli wycofuje się ono z tego świata fantazji w miarę, jak, przyswoiwszy sobie różne umiejętności, dochodzi do wniosku, że umie coś zrobić naprawdę. Wtedy zabawy jego schodzą na grunt realny, zamiast w wyobraźni tworzyć rzeczy wielkie, próbować budować choćby małe z materjałów, jakie zdoła opanować: gliny, kamieni, tektury, czy drzewa. Teraz musi przełamywać pewne trudności; już nie wszystko mu się udaje, ale sam wysiłek staje się dla niego przyjemnością, gdyż daje mu poczucie własnej siły, wzmagającej się w miarę ćwiczenia. Przychodzi czas, gdy samo zmaganie się z trudnościami stanowi urok zabawy; zbyt łatwe stają się nudne. Temu pragnieniu przezwyciężania trudności odpowiadają gry i sporty, jedne ćwiczą siły umysłowe, drugie siły fizyczne.

Jeden z wytrawnych, doświadczonych pedagogów powiedział, że chcąc się zorjentować w stopniu uzdolnienia nowych uczniów, których mu przyprowadzono do szkoły, zadawał rodzicom pytanie, czy chłopiec umie się bawić. Zdolne dzieci same sobie wynajdują zabawy, niezdolne nudzą się ,o ile ich ktoś nie zabawia. Można dodać, że starsze, czy młodsze dzieci, stale zabawiane przez starszych, którzy dają im gotowy plan, pomysły, materjały — a w dodatku kierują ich rozrywkami, wpadają w lenistwo umysłowe; ich energja wątleje skutkiem przymusowej bierności. Tej straty nie pokryje domniemana wartość kształcąca mądrze obmyślonej zabawy.

Nie znaczy to, by władza wychowawcza nie miała nigdy wkraczać w sferę zabaw dziecięcych. Bywają zabawy szkodliwe i zabawy niemoralne, np. polegające na dręczeniu zwierząt i dokuczaniu ludziom; te muszą być oczywiście wykluczone. Natomiast każda niewinna i nieszkodliwa zabawa jest tem bardziej kształcąca, im bardziej samodzielna; daje ona bowiem dzieciom sposobność do rozwinięcia tych skłonności i talentów, które im w dalszem życiu będą niezbędne, a jakie nie mogą się uzewnętrznić w stosunkach jego z otoczeniem. Gdzie i kiedy, jeśli nie w zabawie może dziecko ujawnić inicjatywę, zmysł organizacyjny, instynkty opiekuńcze, zdolności kierownicze, poczucie sprawiedliwości — a przedewszystkiem odpowiedzialności, kiedy w realnem środowisku, w jakiem żyje, nikt i nic od niego nie zależy?

POCZĄTKI ODPOWIEDZIALNOŚCI.

Dla wyrobienia charakteru pierwszorzędną wagę ma świadomość, że każdy postępek, z własnej woli wykonany, wywołuje następstwa złe, lub dobre, które musimy sobie przypisać, siebie za nie obwiniać, lub niemi się szczycić. W tej świadomości bierze początek to, co nazywamy sumieniem, a co bynajmniej nie jest w człowieku gotowym darem natury. Ludzie nie rodzą się złymi, lub dobrymi, lecz stają się nimi przez wychowanie. Jeśli ono w nich nie wykształci i nie umocni poczucia, odpowiedzialności, tego wewnętrznego rządu i sądu, moralnej busoli, wedle której człowiek kieruje swem postępowaniem — występek, lub cnota staje się tylko nieobliczalnym wynikiem przypadkowej konjunktury. Mnożą się typy ludzi, na których nie można polegać, lub, co gorsza, takie, „po których wszystkiego spodziewać się można".

Warunkiem odpowiedzialności jest wolność. Istota zależna, spełniająca zawsze tylko cudzą wolę, nie ponosi odpowiedzialności za to, co czyni,

lecz obarcza nią tych, którzy wydają rozkazy. Z drugiej strony wolność bez odpowiedzialności, nie jest samodzielnością, lecz samowolą. Człowiek, który wie, że może sobie pozwolić na wszystko, bo za nic nie odpowiada — nie waha się i nie namyśla nad swemi postępkami. Przywyka do lekkomyślności i bezmyślności. W ten sposób rośnie bardzo wiele dzieci, przyzwyczajonych do tego, że w ważnych, czy drobnych sprawach, rodzice myślą, przewidują i decydują za nie, że płacą koszty wszystkich błędów i ich szkodliwych następstw. Cokolwiek się stanie, nic nie będzie ich winą.

Wypuszczone na wolność (t. j. pozostawione na jakiś czas bez nadzoru i opieki) korzystają z niej, by spełnić jak najwięcej postępków, nieprzewidzianych i nienakazanych, lub wprost zakazanych, co dla wychowawców staje się argumentem dowodzącym, że dzieci ani na chwilę bez dozoru zostawiać nie należy Nie przeczuwają oni, że są dzieci, na których polegać można, które w nieobecności wychowawców zachowują się tak samo, jak przy nich, tylko może właśnie trochę rozważniej i ostrożniej. Są to te, które nauczono używać swobody i za jej użycie odpowiadać.

Ścisła i nieustanna zależność wytwarza pewne lenistwo moralne, do którego istnieje wrodzona skłonność w naturze dziecięcej, stanowiąc przeciwieństwo do wspomnianej poprzednio ambicji wysiłku i przełamywania trudności. Gdy sparaliżujemy skutecznie tę ostatnią, zostawimy wolne pole dla rozwoju pierwszej i przekonamy się wte-

dy, że obezwładniliśmy istotnego sprzymierzeńca naszych wychowawczych usiłowań, a uzbroiliśmy ich wroga. Obok żywiołowego porywu emancypacyjnego, wyrażającego się w okrzyku: „ja sam!“ niezmiernie często słyszymy z ust dziecięcych, jako odruch ucieczki przed odpowiedzialnością: „to nie ja!“, albo też argument obrony: „ja, ale nie umyślnie!“. Na to jest tylko jedna odpowiedź: „Nie o to chodzi, by nieumyślnie robić źle, lecz by umyślnie robić dobrze“.

Nietylko zła wola, lecz brak dobrej woli jest wadą, z której się poprawiać trzeba. Nie sądźmy, aby z tej wady dzieci z wiekiem wyrastały: jakże często występuje ona jako zakorzeniony nałóg u ludzi dorosłych. Ile razy stanie się jakieś nieszczęście, lub sprawy, do których ogólnie przywiązywano wagę, przyjmą niepomyślny obrót, pierwszym odruchem większości ludzi bezpośrednio zaangażowanych, jest zrzucanie winy z siebie, a poszukiwanie, lub wskazywanie innego winowajcy. Dziecięce: „to nie ja“ pada z ust dorosłych w formie długich i namiętnych sporów i rekryminacyj, na które trwonią czas i energję zamiast doraźnie odruchem natur czynnych i dzielnych chwytać się środków ratunku i szukać dróg wyjścia. Tymczasem dochodzenie przyczyn prawie zawsze odroczyć można bez szkody, a nawet z korzyścią, gdyż pod pierwszem wrażeniem trudno o spokój i bezstronność: natomiast zapobieganie następstwom jest kwestją palącą i nie cierpiącą zwłoki.

Jakże często spotykamy ludzi oddanych rozpamiętywaniu swych niepowodzeń życiowych nie na to, by z nich wysnuć naukę, czy przestrogę dla siebie, lecz by skonstruować drobiazgowy i wyczerpujący akt oskarżenia przeciw wszystkim, którzy nie zachowali się tak, jak było trzeba, by im zapewnić pomyślność. Takie narzekania są wyrazem słabości człowieka, który nie umie i nie chce być kowalem swego losu, ponieważ zżył się z myślą, że ktoś, lub coś musi mu dać to, co mu się w jego mniemaniu należy, bez względu na jakikolwiek wysiłek z jego strony. Są też malkontenci nieuleczalni, a najczęściej to życiowe kalectwo zawdzięczają wychowaniu.

WIEK SZKOLNY; STOSUNEK DO NAUKI.

Najwięcej grzechów popełnia się w tym kierunku, przy wychowaniu dzieci i młodzieży w wieku szkolnym.

Wspomniałam, że w życiu dziecka nie wiele bywa spraw realnej wagi, któreby od niego zależały i któreby można zdać na jego odpowiedzialność: niemniej jest jedna bardzo doniosła, która polega wyłącznie na niem samem i bez jego woli załatwioną być nie może; jest nią jego nauka. Jeśli uczeń, lub uczennica nie chce się uczyć, najgenjalniejszy zespół nauczycieli nic na to nie poradzi. Wprawdzie pedagogja i metodyka wynajdują teraz coraz skuteczniejsze sposoby wzbudzenia zainteresowania uwagi, zapobiegania przeciążeniu, ożywiania lekcji, by ją uczynić ponętną nawet dla nieuleczalnych leniuchów; wszystko to jednak okaże się bezskuteczne wobec natury biernej, niezdolnej do żadnego wysiłku, ucznia, żyjącego w głębokiem przekonaniu, że tylko rzeczą nauczyciela jest uczynić z niego wykształconego człowieka, on zaś sam ze swej strony dosyć już

robi, gdy uczęszcza do szkoły i poddaje się dokonywanym na jego mózgu operacjom. Jeśli mu zatrzymają promocję, to oczywiście wina nauczyciela, który się do niego uprzedził; jeśli go nie dopuszczą do matury, szkoły wina, że mu życie zwichnęła i zamknęła drogę do dalszej karjery.

Zabiegi domowe umacniają go w tem mniemaniu. Gdy wyniki nauki nie odpowiadają oczekiwaniom, trzeba mu dać korepetytora, który będzie ponosił odpowiedzialność za otrzymywane przezeń w klasie stopnie. Któż z nas nie widział takiej sceny korepetycji, gdy jakiś nowokreowany pedagog z siódmej, lub ósmej klasy sili się na obkuwanie młodszego kolegi, a ten z miną znudzoną tkwi nad zeszytem i całą postawą swoją zdaje się mówić: „Ja siedzę — a ty mnie ucz". Nic dziwnego :od pierwszych lekcyj, od A B C przywykł, by jego zajęciami szkolnemi kierowano, jako sprawą zbyt ważną, aby ją można samemu dziecku pozostawić. Troskliwa matka za niego przypominała, co zadane, i nie spuszczała go z oka, dopóki zadań nie zrobił; o ile można, robiła je z nim razem. Ona pamiętała, by zabrał do szkoły potrzebne zeszyty i książki, ona pilnowała, by były starannie utrzymane i sama wywabiała z nich plamy. Jednego tylko zrobić za niego nie mogła: uważać, myśleć, pojmować i pamiętać; niestety właśnie to jedno decyduje o całej wartości pracy szkolnej.

Wszystkie niepowodzenia, a nawet wszystkie tragedje szkolne biorą początek w tym fałszywym

z gruntu stosunku dziecka do nauki. Nie powinno chodzić o to, by je przeprowadzić przez wszystkie klasy, lecz by ono istotnie coś umiało, a na to potrzeba, by chciało umieć. W tym kierunku iść powinno jego pragnienie i jego ambicja. Nauka szkolna jest dla niego tylko sposobnością dowiadywania się rzeczy, których nie wie, przyswajania sobie umiejętności, których nie posiada. To jest jego najbardziej osobisty interes, którego nikt za niego załatwić nie jest w stanie, tak, jak nikt za niego nie może chwytać i odbijać piłki, jeździć na łyżwach, lub pływać. Tu wszystko od A do Z zależy tylko od niego, a wszelka t. zw. pomoc jest właściwie przeszkodą, gdyż usuwając trudności, pozbawia go okazji ćwiczenia sił w ich przełamywaniu. Dodać jeszcze można, że owa troskliwa pomoc domowa, wprowadzając w błąd nauczyciela, utrudnia mu przystosowanie lekcji do potrzeb i poziomu uczniów. Nauczyciel powinien wiedzieć, jakie omyłki popełniają, czego nie zrozumieli, lub zrozumieli błędnie, ażeby odpowiednio do tego uzupełnić lekcje dawniejsze.

Dziecku, idącemu do szkoły, powiedzmy, że zdobędzie w niej tylko to, o co samo się postara, i że dom z tego punktu widzenia oceniać będzie jego postępy. Jeżeli, mimo dobrej woli i rzetelnego wysiłku, nie podoła zadaniu, to widocznie było ono jeszcze ponad jego siły i trzeba je cofnąć o jedną klasę. Nie jest nieszczęściem nauczyć się czegoś o rok później, ale nieszczęściem jest, nie móc nauczyć się niczego, a to niechybnie grozi

każdemu, kto nie o własnych siłach kurs szkolny przechodzi.

Nie wynika stąd, by opieka domowa nie mogła się w niczem przyczynić do pomyślnego wyniku szkolnej nauki. Od niej zależy, by dzieci przywykły do poważnego traktowania swych obowiązków, by nie były od nich bez potrzeby odrywane, by uszanowano ich spokój, niezbędny do owocnej pracy umysłowej, wreszcie, by przez okazywane zainteresowanie dla życia szkolnego, udzielanie rady i zachęty przy nastręczających się trudnościach, podtrzymywać energję dziecka i jego wiarę w siebie.

KOLEŻEŃSTWO.

W tym okresie życia doniosła waga samodzielności i odpowiedzialności uwydatnia się nietylko, gdy chodzi o nabytki umysłowe, lecz o rozwój moralny. Nie przeczę, że wychowawcy i kierownicy zajęć szkolnych przez stosowanie konsekwentnych metod pedagogicznych mogą silnie wpłynąć na rozwój charakterów uczniów, wdrażać im — prócz umiejętności i wiadomości — także szereg pożytecznych przyzwyczajeń, zdrowych zasad, szlachetnych umiłowań. Nie wszystko jednak zależy wyłącznie od ich starań i talentów. Szkoła jest licznem zbiorowiskiem jednostek, z których każda oddziaływa na drugą, świadomie, czy bezwiednie, rozmyślnie, lub niezależnie od swej woli. Każdy uczeń przynosi w jej mury złe, lub dobre nawyknienia, zdrowe, lub spaczone pojęcia złego i dobrego. Toteż każdy z nowowstępujących, przystosowując się do nowego środowiska, może od niego przejąć nietylko dobre, ale i złe przykłady. Opinja kolegów może nieraz działać na niego silniej, niż nakazy i przestrogi wychowawców, a i tu

życie szkolne jest odbiciem życia społecznego. Czyż nie wiemy, że ludzie łatwiej decydują się złamać prawo, niż ogólnie przyjęty zwyczaj? Opinja koleżeńska nie zależy od jakiejś, dającej się obliczyć większości, lecz od pewnych jednostek czołowych, pewnych siebie i umiejących wzbudzić wiarę w swą wyższość. Jeżeli znajdą się wśród masy biernej i chwiejnej, opanują ją z łatwością i wywierają despotyczną władzę, która tem bardziej się utwierdza, im mniej sprawnie i energicznie działa sama zwierzchność szkoły. Czasem wychowawcy, świadomi tego stanu rzeczy, próbują uprościć swoje zadanie w ten sposób, że dla przeprowadzenia swej woli w klasie, usiłują nagiąć do niej tylko tych samozwańczych przewodników, licząc na to, że ich wpływ pociągnie resztę. Nie zawsze jednak daje to pomyślne wyniki, wytwarza się bowiem w szkole obok jawnego i odpowiedzialnego zwierzchnictwa, rząd poboczny, nie ponoszący żadnej odpowiedzialności, co — jak wiemy — prowadzi do samowoli. Władza, uzyskana nad kolegami, stanowi pokusę nadużywania jej dla celów samolubnych, demoralizuje zatem tę jednostkę, która miała najwięcej danych, by stać się wybitnym typem człowieka.

Chcąc obwarować swe dzieci przeciw tym nieuchwytnym i nieobliczalnym wpływom, na jakie będą wystawione w koleżeńskiem życiu, należy bardzo troszczyć się o to, by samodzielność i poczucie odpowiedzialności rozwinąć w nich zawczasu i z góry wykluczyć zachcianki zwalania na

innych winy własnych postępków. Każdy odpowiada za siebie — oto zasada, której zgodnie trzymać się powinni i dom i szkoła. „Koledzy cię namówili? — a czemuż ty ich nie namówiłeś, by postąpić inaczej?". „Wszyscy tak robią? gdybyś ty tego nie zrobił, już nie byliby wszyscy". Zawczasu kształcić winniśmy w przyszłych obywatelach odwagę, by ośmielali się mieć słuszność przeciw większości, która zresztą jest zwykle tylko większością domniemaną. Od siły przekonania zależy zdolność przekonywania, a tam, gdzie ludzie rozumni i szlachetni nie mają dość silnej woli i niezawisłości charakteru, sami torują drogę do władzy ludziom głupim i przewrotnym. Często już w izbie szkolnej dokonywa się ten zgubny podział ról, że jedni mają rację, drudzy mają przewagę. Im więcej starań łożyliśmy na to, by zaszczepić dziecku szlachetne i uczciwe skłonności, tem ważniejszą jest rzeczą, by przez rozwój samodzielności obwarować je przeciw złym wpływom. Poza tym jednym jedynym środkiem nie znajdziemy żadnego, któryby prowadził do celu. Jeśli uczeń sam nie będzie umiał sobie wybierać towarzystwa i przyjaciół, jeżeli nie zdoła wyrobić sobie krytycznego sądu o przykładach, namowach i propozycjach, z któremi się spotka, nie zdobędzie się na odwagę przeciwstawienia się złemu z taką samą energją, z jaką popierać będzie wszystko, co w jego pojęciu dobru i słuszności odpowiada — nietylko plon naszej wychowawczej pracy może się zmarnować, ale i szkołę pozbawi-

my tej bardzo cennej pomocy, jaką jest dla niej rodzina, gdy dostarcza jej dobrze wychowanych uczniów.

Czy jednak nie zawiele wymagamy od dziatwy i podrastającej młodzieży, żądając, by ujawniała odporność, na jaką dojrzali ludzie nie zawsze zdobyć się mogą? Czyliż szeroką masą dorosłego społeczeństwa nie rządzi wszechwładnie moda, owczy pęd naśladownictwa, popularne hasło? Na to odpowiedzieć trzeba, że zjawisko rzadkie to wcale nie to samo, co zjawisko niemożliwe. Znamy niejeden przykład, że z tego samego środowiska, w którem wielu się demoralizowało, wychodzili i tacy, którzy wynieśli zeń nietknięty kapitał moralnej wartości, co nawet zdołali rzucić zdrowy posiew na najbardziej zachwaszczoną glebę. Każdy zapewne słyszał ubolewania, że młodzież szkolną, która w r. 1920 pod wpływem patrjotycznego zapału poszła do szeregów, wojna wykoleiła i zdemoralizowała. Nie było to jednak bynajmniej regułą ogólną. Z ognia bitew powróciło do domu wiele cennych jednostek, charakterów zahartowanych, zmężniałych w dniach próby i tem wierniej oddanych ojczyźnie po ofiarach, jakie jej złożyli.

ZE SZKOŁY ŻYCIA.

Ukończenie szkolnej edukacji — na niższym, czy wyższym stopniu — jest progiem nowego okresu i wstępem ostatniego kursu nauki, trwającego aż do późnej starości. Z chwilą, gdy drudzy uczyć go przestali, człowiek zaczyna się sam kształcić; gdy przestali nim kierować, sam sobą kierować musi. Jeśli szkoła nie uzdolniła go do samokształcenia — przekona się niebawem, że nie nauczyła go niczego, bo w bardzo krótkim czasie skromny zasób wiadomości z niej wyniesiony, okaże się zupełnie niewystarczającym dla rozwiązywania zagadnień, wobec których go życie postawi. Jeżeli nie przywykł za siebie odpowiadać i na sobie polegać, póki władza i opieka wychowawców czuwała nad nim i chroniła go od zboczenia na manowce, jakże nieszczęśliwym i bezradnym uczuje się, pozostawiony sam sobie i skazany na ponoszenie całego ryzyka popełnianych przez siebie omyłek.

W decydującym momencie wyboru zawodu spotka się jeszcze z troskliwą opieką społeczeń-

stwa, które na jego użytek powołało do życia poradnie zawodowe, laboratorja psychotechniczne, więc na życzenie może go poddać próbie i zaopatrzyć w karteczkę, zawierającą ocenę jego uzdolnień i jego widoków powodzenia. Jakże jednak srodze zawieść się może, jeśli w niej widzieć będzie niezawodną receptę na pomyślność. Żadne testy i eksperymenty nie wykażą, ile w danej jednostce jest zdolności wytrwania, cierpliwości w znoszeniu nieodłącznych od każdego zawodu udręczeń, talentu zjednywania sobie ludzi i właściwego z nimi postępowania, ambicji ciągłego doskonalenia się i wiary we własne siły. Od tych czynników zależy w o wiele wyższym stopniu powodzenie w każdym zawodzie, niż od specjalnych wrodzonych, czy nabytych sprawności, podlegających badaniu. Przy silnej, skoncentrowanej woli człowiek może pokonać nawet te trudności, które tkwią w jego ustroju. Generał Bonaparte, wątłej budowy, małego wzrostu młodzieniec, w dodatku chory wówczas i ledwie trzymający się na siodle, przez zwycięstwa odniesione w kampanji włoskiej, okrył się chwałą i stał się wielkim. Choćby był atletą znakomicie wyćwiczonym, wszystkie jego przyrodzone talenty nie byłyby starczyły dla osiągnięcia tego sukcesu, gdyby nie umiał chcieć i nie wiedział, czego chce.

Może zgrzeszę nadmiarem pesymizmu, ale ile razy widzę młodzieńca, lub dziewczynę, którzy szukają fachowej, kompetentnej wskazówki, jaki zawód obrać, zawsze mówię sobie w duszy:

„Wszystko jedno, co ci wskażą, bo i tak w żadnym daleko nie zajdziesz“. Tylko ten, kto sam powziął postanowienie i trwa przy niem, nie czekając niczyjej zachęty, a z rad zniechęcających czerpie jedynie przestrogę, na jakie trudności się przygotować, jakie przeszkody przełamywać będzie musiał, ma rzeczywiste widoki powodzenia. Młodzież powinna wiedzieć, ż niema zawodów złych, ani dobrych, każdy ma dobre i złe strony i w każdym spotykamy triumfatorów i wykolejeńców. Niema również i nie może być takiego gwałtownego popytu na jakiś rodzaj pracy, aby nawet najlichszy pracownik mógł być wysoko ceniony i dobrze wynagradzany. Nie ci, którzy swe zadanie spełniają jako tako, lecz ci, co je spełniają lepiej, niż inni — mogą mieć pewność, że im nigdy roboty nie zabraknie. Aby jednak to zabezpieczenie osiągnąć, nie dość jest przygotować się odpowiednio do swych czynności, lecz trzeba nieustannie się w nich doskonalić, na to zaś trzeba miłować swą pracę, a z zawodu zrobić powołanie. Pomyślna konjunktura i protekcja może ułatwić tylko pierwsze kroki. Jedna i druga są rzeczą zmienną i zawodną. Dla człowieka, który własną pracą zdążył wykazać swą umiejętność, obie stają się niepotrzebne; dla tego, który na tejże drodze dał dowody nieudolności — bezużyteczne.

Wiara potęguje siły; jeśli chłopiec, czy dziewczyna wierzy, że w danym zawodzie znajdzie najlepsze pole dla swych zdolności i najwięcej zadowolenia, to niewątpliwie pracować w nim będzie

usilniej i owocniej, niż w każdym innym. Jeśli przeciwnie pokrzyżujemy jego zamiary i narzucimy nasz własny wybór, wola jego będzie odrazu osłabiona wewnętrznem usprawiedliwieniem: „Wiedziałem, że to nie dla mnie“. „Nie moja wina, że do niczego nie dojdę“.

Miłość rodzicielska trudno godzi się z myślą, że przestaje być dla dziecka niezbędnym warunkiem istnienia, że nie może iść w ślad za niem, krok za krokiem, czuwać nad jego szczęściem na drodze dalszego życia. Trudno jej uwierzyć, że troskliwa opieka, która była dawniej świętą powinnością, staje się nietylko zbyteczną, ale często nawet szkodliwą. Czasem matka nie zdaje sobie sprawy, że czyniąc osobiście starania o posadę dla syna, lub córki, dobiegających trzydziestki, im więcej zaleca swego kandydata, tem bardziej go ośmiesza i poniża. Czy można liczyć na to, że synalek, który się mamą wyręcza przy zdobywaniu pracy i przyjmowaniu zobowiązań, zdoła je sam na własną odpowiedzialność spełnić?

Taki sam wynik osiąga matka, która synowi szuka żony, lub córce męża wybiera, a znacznie gorzej jeszcze ta, która pilnuje szczęścia małżeńskiego swych dzieci, poucza je, czego mają wymagać, otwiera im oczy na wady i winy synowej, lub zięcia i cierpi nad mniemaną, lub rzeczywistą krzywdą swego dziecka. Mąż i żona albo pogodzą się bezpośrednio, albo nie pogodzą się wcale; osoby trzecie swoją niewczesną, choćby z najszla-

chetniejszych pobudek płynącą interwencją, mogą tylko spotęgować rozdźwięk.

Życie samo wymaga abdykacji władzy rodzicielskiej w odpowiedniej porze i trzeba sobie powiedzieć, że to jest ostatnia z szeregu ofiar, uczynionych dla dobra rodzonego syna, czy córki. Dorosłe dzieci muszą iść własnemi drogami do celu, który same sobie określają, o własnych siłach zwalczać trudności, przełamywać przeszkody.

Nie jesteśmy w stanie przewidzieć ich przyszłości, ani jej dowolnie kształtować. Jeżeli jednak wychowanie dało im moc wewnętrzną, i głębokie poczucie odpowiedzialności, jeśli umieją sobą rządzić i siebie sądzić, to nie możemy im dać ponadto cenniejszego daru. Będzie on dla nich urzeczywistnieniem rodzicielskiego błogosławieństwa, które do schyłku życia ich nie opuści.

TWB